

# Ożywczce wyzwanie Brexitu

23 czerwca 2016

Wbrew dominującym stwierdzeniom i zerojedynekowej debacie medialnej, opuszczenie Unii Europejskiej przez Wielką Brytanię wcale nie musi oznaczać początku końca Unii Europejskiej. Nie koniecznie musi być też równoznaczne z jej osłabieniem. Przyklaskiwanie rozwodowi Londynu z Brukselą to nie synonim życzeń rozpadu samego związku europejskiego, zgodnie chociażby z oczekiwaniami m.in. antyunijnych środowisk konserwatywnych. Istnienie UE jest bowiem geopolitycznie jak najbardziej potrzebne i pożądane – zwłaszcza dla Polski, choć w nieco zmienionej formule. O co zatem chodzi?

Wielka Brytania i jej członkostwo w UE niemal od zawsze były m.in. dla rodzimych eurosceptyków wzorcem, jak należy postępować z „perfidną” Brukselą. Słynny „brytyjski rabat”, twarde stawianie warunków wobec jakichkolwiek propozycji zmian bądź żądanie zmian zgodnych z własnym, partykularnym interesem, niechęć do europejskiej waluty i *acquis communautaire*, blokowanie postania europejskiej armii i otwarte kwestionowanie potrzeby suwerennej obronności kontynentu, to tylko niektóre hamulcowe „wyskoki” Downing Street, niezależnie od rodzaju opcji rządzącej zarówno tym budynkiem, jak i całym brytyjskim związkiem. O ile jednak tego rodzaju idee i sprzeczki bez większych przeszkód funkcjonowały w Europie „przeduchodźczej”, tworząc jej różnorodny koloryt, to jakiegokolwiek poczucie unijnej jedności i trzeźwości powinno było już bezwzględnie wystąpić z początkiem tzw. arabskiej wiosny w 2011 r., w dużej mierze przyszykowanej i akuszerowanej przez Stany Zjednoczone. Londyn zdawał sobie z tego doskonale sprawę, zaś Paryż egoistycznie próbował wtedy zbić mały interes m.in. na tragedii Libijczyków. Nie zmienia to faktu, że to jednak USA, widząc w Unii Europejskiej konkurencję dla swoich mocarstwowych i gospodarczych planów, postanowiły podpalić otaczający ją półksiężyc państw, aby

spowodować kryzys na „Starym Kontynencie”. Wywołany tym dążeniem efekt w praktyce zmusił i tak niezbyt lotne europejskie elity do skupienia się wyłącznie na bieżących problemach, a nie zastanawianiu się nad bliższą lub dalszą przyszłością. Tym samym pomysł amerykańskich strategów powiódł się znakomicie.

W 2016 r., po latach bolesnej nauki, dotychczas bezwolna Europa stanęła jednak przed możliwością własnej resuwerenizacji. Szansa ta jednak paradoksalnie nie wynika z jej własnych działań i dążeń, ale stała się wypadkową okoliczności głównie zewnętrznych. Przejawiły się one w trzech poniższych aspektach.

Pierwszym z nich stała się kwestia podpisania lub odrzucenia Transatlantyckiego Partnerstwa w dziedzinie Handlu i Inwestycji (TTIP) oraz słuszenie coraz bardziej rosnącego europciw przeciwko tej szkodliwej umowie. b nie umowy o partner i dążeń, ale z okoliczności zewlup[ienia się wyłącznie na bieżącejskiego sprzeciwu wobec tej szkodliwej umowy głównie w państwach zachodnioeuropejskich, których społeczności od wielu lat korzystały z „dobrodziejstw” amerykańskiej obecności. Niestety na wschód od Odry, głównie w Polsce, nawet w zakresie debaty, niewiele się do tej pory dzieje. Jest to spowodowane tradycyjnym niemalże brakiem zainteresowania pośród Polaków wydarzeniami i procesami zagranicznymi, jak również „zoologiczną” wręcz niechęcią polskich elit politycznych do dyskusji z własnym narodem w tym zakresie. Te bowiem przyjęły antyspołeczny, wręcz autorytarny w swym wymiarze trend jako wyznacznik swojego postępowania, że w polityce zagranicznej panuje rzekomo ponadpartyjna zgoda. Ktokolwiek zaś próbuje powiedzieć lub zrobić coś inaczej, co nie mieści się w głównym nurcie, ostatnimi czasy bywa nawet profilaktycznie aresztowany. Na szczęście takie podejście raczej nie dotyczy krajów centrum, które odwrotnie do peryferiów potrafią zastanawiać się nad tym, co jest dla nich właściwe i skutecznie odsiewać idee, jakie inne ośrodki siły

próbują im narzucić, argumentując rzekomą ich korzystnością. Tak więc, podejście m.in. szerokich elit niemieckiego społeczeństwa do TTIP, w tym wypadku należy uznać za jak najbardziej słuszne i niemalże zbawienne dla „Starego Kontynentu”.

Drugim aspektem jest potencjalne i spodziewane zwycięstwo miliardera Donalda Trumpa w planowanych na początek listopada 2016 r. wyborach prezydenckich w USA. Znow, mimo całej dyskusyjności tej postaci, wprost idealnym jej hasłem wydaje się ferowane przez nią izolacjonistyczne i „biznesowe” podejście do kwestii polityki zagranicznej. Mając nadzieję, że hasła te zostaną spełnione, gdyż D. Trump choć wiele mówi, to niewiele faktycznie politycznie dokonał, USA ograniczą własną aktywność międzynarodową, w tym wspieranie kompradorskich wobec siebie elit politycznych, m.in. w Polsce, i skupią się na rozwiązywaniu własnych żywotnych problemów politycznych i gospodarczych. Nie ma co zresztą ukrywać, że z jednej strony świat odetchnąłby, ale z drugiej też w miejsce tworzącej się próżni postamerykańskiej, pojawi się przynajmniej 3 kandydatów państwowych (Chiny, FR, BRICS) oraz 2 niepaństwowych (związek ponadnarodowych korporacji oraz jedna z sieci uznawanych za terrorystyczne np. Al-Kaida) do zajęcia pozycji dominującej. Rolą zaś Unii Europejskiej jest nie tyle do tego nie dopuścić, co wywalczyć własne, nie tyle równie dominujące, co efektywnie wpływowe miejsce.

Trzecim jest wspomniany Brexit, czyli opuszczenie przez Wielką Brytanię struktur Unii Europejskiej. Myliłby się jednak ten, kto stwierdzałby, że będzie to proces szybki i bezbolesny dla wszystkich zainteresowanych stron. Brytyjskie PKB w istocie stanowi ok. 17% unijnego. Londyn to jedno z centrów finansowych współczesnej Europy, zaś stopień powiązań tego kraju z pozostałymi państwami więzami gospodarczymi jest równie znaczący. Nie oznacza to jednak, że wielu z tych nici nie można przerwać.

Tym co niewątpliwie wzmocniłoby UE po wyjściu Wielkiej

Brytanii, byłoby przede wszystkim zniknięcie faktycznego i znaczącego amerykańskiego „konia trojańskiego” w Europie. Warszawa to przy potencjale Londynu zaledwie niewielki kucyk. Stąd właśnie zaniepokojenie bieżącej administracji waszyngtońskiej nastawieniem społeczeństwa brytyjskiego. Nad Potomakiem po prostu nie chciano dostrzec, że dotychczasowy brytyjski model multi-culti w rzeczywistości wywołuje podskórne zgrzyty i może po prostu rozsadzić państwo brytyjskie. To właśnie hasła przeciwko obcym panoszą się w wystąpieniach takich radykalnych tuzów brytyjskiej sceny politycznej, jak Nigel Farage i Nick Griffin, czy tradycyjnie konserwatywnych, kładących zdecydowany nacisk na kwestie ekonomiczne, jak Boris Johnson lub Liam Fox, którzy jednocześnie optują za opuszczeniem UE. O ile zdecydowanie większość ich poglądów może wywoływać niedowierzanie, to za chęć wyprowadzenia W. Brytanii z UE, jak również wszystkim pozostałym zwolennikom tego rozwiązania, należy przyznać nagrodę Nobla – nie ważne z jakiej dziedziny. Po pierwsze przyczyniają się bowiem do powstania tzw. Małej Brytanii (spodziewana secesja bardzo prounijnej Szkocji, a nawet Irlandii Północnej), która nie będzie już konkurencją m.in. w wymiarze ekonomicznym dla pozostałych dużych i średnich państw unijnych (nawet Warszawy), a po drugie w istotny sposób osłabia i obnaża pośrednio siłę i wpływ amerykańskiego dyktatu w Europie.

Na chwilę obecną jednak te atuty pozostają niezauważalne. Europa zajęta jest własnym przerażeniem i świadomością, że może ją opuścić przecież dość silne państwo, czego obrazem są wyniki sondaży. Ta paraliżująca obawa wywołuje liczne fluktuacje, gwałtowne zmiany decyzji, a nawet ataki paniki na unijnych salonach finansowo-polityczno-medialnych. Należy jednak pamiętać, że jest to reakcja o tyle normalna, co spodziewana. Najgorsza jest bowiem niepewność, która w sposób istotny wywiera nacisk na rynki finansowe, pobudzając licznych spekulantów do nadzwyczajnej aktywności. W tym wypadku jedną z najkorzystniejszych opcji byłoby bowiem nie wyjście lub

pozostanie Wielkiej Brytanii w UE, lecz sama decyzja w tym zakresie. Skończyłaby ona swoisty nieprzewidywalny finansowy „danse macabre” i pozwoliła licznym poważnym inwestorom znów bez przeszkód, w sposób przewidywalny zarabiać pieniądze.

Co się jednak stanie, kiedy zapadnie decyzja o unijnym rozwodzie?

Tu należy stwierdzić, że prawdopodobnie... niewiele. Proces rozwodowy może trwać, wg zapewnień przewodniczącego Rady Europejskiej Donalda Tuska, nawet 7 lat. Nawet, gdyby był on znacząco krótszy (Traktat Lizboński przewiduje min. 2 lata), to pozostaje i tak wystarczająca ilość czasu do wzajemnego ułożenia relacji, nawiązania kontaktów, negocjacji, ułożenia polityk, reform a wreszcie... zbudowania w miarę solidnych więzów dla państwa europejskiego i to pozbawionego głównego hamulcowego w postaci „perfidnego Albionu”.

Zaistnienie w krótkim czasie trzech wymienionych wyżej aspektów, zmusi europejskie elity wreszcie do poważnego zastanowienia się nad dalszym kursem. Definitywnego rozpadu UE nie należy się spodziewać, gdyż UE to po prostu zbyt dobry biznes dla wszystkich jego uczestników na kontynencie geograficznym. Czy może ktoś jeszcze odpaść? To wątpliwe, ale jeśli nawet, to nie powinien to być nikt istotny. Jeśli jednak takie dążenie zaczęłoby się unaoczniać, nauczone Brexitem pozostałe kraje na pewno tak łatwo tak łatwo by już na to nie pozwoliły. Po wyjściu W. Brytanii z UE, odrzuceniu TTIP i wygranej D. Trumpa Unia Europejska na chwilę zostanie jakby naga. To jednak wreszcie powinno ją zmusić do nadzwyczaj szybkich i obronnych działań o charakterze konsolidującym. Budowa imperium unijnego, zdolnego stawić czoła i podjąć wyzwanie walki o prymat na ziemskim globie zarówno z USA, Rosją i Chinami zdaje się być w zasięgu ręki. Po każdym gwałtownym szoku, musi nastąpić reakcja dostosowawcza. W wypadku UE powinna to być totalna redefinicja własnej pozycji i określenie na nowo własnych atutów i możliwości. Trzeba tu z całą mocą podkreślić, że są one dość znaczne

Należy w tych ramach podkreślić, że spodziewane zmiany „postbrexitowe” wiązałyby się także z zupełnym przemodelowaniem relacji wewnątrzunijnych. W tym wypadku zdecydowanie większą uwagę musiałaby zostać poświęcona, ale co najważniejsze uwzględniona m.in. wobec racji takich państw jak m.in. Węgry Victora Orbana, które od dawna klarownie i efektywnie dały do zrozumienia, że na dotychczasowe neoliberalne trendy i kolonialne zapędy w UE zgody nie wyrażają. Niestety głos Polski raczej w dotychczasowym kształcie raczej może nie być uwzględniany. Obecna ekipa rządząca Warszawą, uosabiana na unijnych salonach przez ministra Witolda Waszczykowski, bardziej bowiem pachnie w odbiorze głęboką niekompetencją, co zresztą jest już tradycją polskiego MSZ od wielu lat, aniżeli jakąkolwiek długofalową wizją zarówno w duchu prounijnym, jak i eurosceptycznym, a nawet między nimi pośrednim.

Zapytajmy więc ponownie, co może czekać Europę krótko po oczekiwanym wyjściu Wielkiej Brytanii z UE?

Przede wszystkim krótkotrwałe trzęsienie ziemi wywołane niepewnością z powodu braku realnego schematu postępowania na taki wypadek (szok), trwająca kilka lat reakcja dostosowawcza, przeradzająca się w gwałtowną konieczność przebudowy UE zgodnie z wyzwaniem globalnymi. W tym procesie rola Polski nie może jednak ulec marginalizacji. Byłaby o bowiem katastrofa naszego państwa i narodu go zamieszkującego. Stąd też Polska powinna wziąć w nim udział w jak najbardziej szerokich ramach, które powinny uwzględniać opinie nie tyle koncesjonowanych przez różne ośrodki zagraniczne, głównie z USA i Niemiec, przedstawicieli, lecz jak najszersze spektrum opinii politycznych z różnych stron. W tym bowiem zakresie wypracowanie zgody narodowej w ramach obranego kierunku i zakresu, jest niezbędne. Od tego bowiem zależy przyszła pozycja Polaków (ale nie Polski rozumianej jako państwo) w kształtowaniu nowego unijnego państwa oraz zdolność do ochrony własnej tożsamości, która w każdym wariancie w ramach UE, czy

poza nią – będzie dość istotnie zagrożona. W innym wypadku mogą nas czekać jeszcze głębsze peryferie, z których korzystają inni poza nami...

Okres dostosowawczy jest również niezbędny dla wypracowania skutecznej polityki bezpieczeństwa wobec innych nieprzyjaznych (USA) lub konkurencyjnych mocarstw (Chiny, Rosja). Wreszcie stworzenie zintegrowanego superpaństwa (obecny projekt unii politycznej to tylko niedoskonała mutacja tego pomysłu), zdolnego do gry efektywnej międzynarodowej, potrafiącego zadbać o własne otoczenie geopolityczne przez m.in. niedopuszczenie innych mocarstw do tego obszaru, potrafiącego dyktować własne reguły wzorem innych ośrodków siły, pozostają w zasięgu ręki. Cały ten proces może trwać do 20 lat. Jego pomyślne zakończenie może wieńczyć przejęcie pałeczki przywództwa światowego przez zjednoczoną i zintegrowaną Europe, która wyrwie się z „duszących objęć” USA i będzie w stanie realnie konkurować z pozostałymi mocarstwami i to nie tylko w wymiarze globalnym, ale i planetarnym. Ten okres może się rozpocząć już niebawem...

Autorstwo: dr Marcin Domagała

Źródło: [Geopolityka.org](http://Geopolityka.org)